ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 2 września 1934 r. | Nr. 36

Marjan Reutt

Przyszłość kultury europejskiej

Zagadnieniom kultury poświęca się dzisiaj dość dużo miejsca. Mówi się coprawda przeważnie o kryzysie kultury. Epokę współczesną uważa się naogół za pewne cofnięcie się w rozwoju kulturalnym, za inwazję barbarzyństwa i ciemnoty, za okres upadku intelektualizmu. Mówi się i to oddawna o upadku Zachodu. W związku z tem niektórzy tęskny wzrok kierują na Wschód i stamtąd bezskutecznie oczekują zbawienia. W Polsce miejscowa „elita" wiernie powtarza alarmy zachodnie i tylko nieliczna garstka, ujmując problem kultury z należytą powagą, zwraca swoje poszukiwania do źródeł samej kultury, do duszy człowieka i narodu. Cóż mówi Zachód? Weźmy do ręki dziełko wydane w Paryżu przez Międzynarodowy Instytut Współpracy Intelektualnej p. t. L'avenir de l'Esprit Européen. Zawiera ono tematy „rozmów" toczonych w Paryżu na zjeździe zwołanym z inicjatywy francuskiego Komitetu Współpracy Intelektualnej. Udział w tym zjeździe brały głośne osobistości ze świata nauki i sztuki, a więc: Juljusz Benda, Edward Benesz (list z wytłumaczeniem nieobecności), Henryk Bonnet, Emil Bosel, Viggo Broeudall, L. Bumschwieg, J. Cantacuzène, M. Coppola, Julio Dantas, Georges Duhamel, F. Enriques, Henri Focillon, J. Huizinga, Aldous Huxley, hrabia Keyserling, De la Brière, E. da Las Casas, Josef Limburg, S. de Madariaga, Thomas Mann (list z tłumaczeniem nieobecności), William Martin, A. de Monzie, Denis Parodi, Jules Rais, Gaston Rageot, Jules Romains, hrabia Telazi i Paul Valery. „Rozmowy" były ciekawe, coprawda nie mogły niemi nie być. Zespół był w każdym razie znakomity. Reprezentował ludzi różnej klasy i różnych poglądów.

Wynikami i treścią tych „rozmów" zajmiemy się w niniejszym artykule.

•

„Rozmowy" paryskie były niezwykle ożywione. Zarysowało się parę odrębnych stanowisk, sformułowanych z dużym talentem i wnikliwością. Jedni utrzymywali, że wiedza pojmowana racjonalistycznie i oparte o nią ideały giną, a z niemi razem ginie wogóle cała kultura (Huxley, Valery, Duhamel) inni natomiast stanęli na stanowisku, że ludzkość dźwiga nowe ideały i że buduje nową, lepszą rzeczywistość, której zarysy występują już teraz z całą wyrazistością i siłą (Keyserling, Coppola).

PAUL VALERY

Paul Valery, wybrany prezesem zjazdu, skreślił we wstępnem słowie istotę zagadnienia, które miał zjazd rozpatrzeć.

Duch ludzki, który rozbłysnął w ubiegłych latach niezwykłą siłą twórczą — wyczerpał się. Określony pojęciem „l'esprit européen" pewien styl bycia intelektualnego przeżywa ciężki kryzys. Nic nie pozostało z owych cngi zdawałoby się niewzruszonych wartości, ze wspólnego dorobku europejskiego, ze sposobu myślenia, ze swobody powszechnej pewnych idej, z woli i tężyzny intelektualnej, z woli twórczej i z pędu do wiedzy.

Wypadki natury politycznej i gospodarczej przyczyniły się do dezorganizacji i poderwania wiary w dotychczasowe prawdy. Zaprzecza się dzisiaj zdawałoby się tak niezbitym doktrynom jak determinizm lub ewolucjonizm. „Postęp sam — mówił Valery — pożera najbardziej godne uwielbienia ze swych dzieci. Co mówię? On niszczył swoje najbardziej istotne podstawy". „Umysł ludzki nietylko jest pogrążony w niepewności, ale przedewszystkiem w smutnej rzeczywistości chwili obecnej; jest zaatakowany w sobie samym i przez samego siebie". Umysł ludzki przeżywa analogiczny kryzys do życia politycznego lub gospodarczego.

Oto problem, wobec którego stoimy wszyscy. Odrodzenie jest możliwe. Valery wierzy, albo udaje, że wierzy w swego „ducha europejskiego", który jest według niego faktem. „Duch Europy" jest, ale niema ducha narodu. Sprzeczności takiej tezy Valery nie widzi, a może nie chce widzieć. Szekspir według Valery'ego wcale nie był Anglikiem, gdyż złożyło się na niego szereg czynników, jak wpływy starożytności, wpływy francuskie, Montaigne i t. p. W ten sposób każdy twórca jest zjawiskiem międzynarodowem.

Wpływy narodowe, coprawda niewielkie — mówi Valery — też istnieją, gdyż w każdym człowieku istnieją jakgdyby dwie osobowości, z których jedna jest narodowa, a druga wszechludzka „my naprawdę nigdy nie wiemy, o tem bowiem decydują okoliczności, co w nas stanowi element wyobrażeniowy, a co jest rzeczywiste". Nie jednokrotnie zdaje się, że jesteśmy bardziej Europejczykami, niż przedstawicielami określonego narodu, innym razem bywa odwrotnie.

Najpiękniejszą i najistotniejszą rzeczą dla odrodzenia kultury jest miłość wszystkiego tego, co jest ogólnoludzkie i w tem należy szukać odrodzenia.

ALDOUS HUXLEY

Niebezpieczeństwo antyintelektualizmu tkwi przedewszystkiem w tem, że schlebia namiętnościom. Korzysta z niego nacjonalizm w celu uzasadnienia swoich prawd, które nie zawsze dadzą się dowieść racjonalistycznie. Na tem tle powstają teorje o wyższości pewnych ras.

Najlepszą bronią przeciwko antyintelektualizmowi jest logika, ale niestety nie ma ona wpływu na masy, które wierzą przedewszystkiem autorytetom. Intelektualiści autorytetów nie mają, więc pozostaje im perswazja, „a zatem sztuka" jak mówi Huxley.

Cechą charakterystyczną naszej epoki jest obrzydliwa wulgarność, która zrodziła się dzięki t. zw. „drukowanemu towarowi". „Drukowany towar" to lichota rzucana olbrzymim rzeszom czytelników pod postacią „lekkiej lektury". Inwazja „drukowanego towaru" tłumaczy się tem, że zadużo jest ludzi, którzy mają zły zwyczaj czytać zbyt wiele. Ilość dobrych książek natomiast jest niewielka, w ten sposób obniża się stopniowo poziom czytelnika.

Huxley wyjaśnia to zjawisko, jak następuje: „Ilość pisarzy, posiadających talent artystyczny jest zawsze ograniczona. S ąd wynika, że w każdej prawie epoce największa część literatury była zła". Ten sposób wyjaśnienia nazywa Huxley arytmetycznym. To samo jest w dziedzinie muzyki. Sztuka pierwotna może być niedorzecznością lub barbarzyństwem, ale zawsze daleko będzie od wulgarności. Wynika to z braku środków technicznych, estetycznych i ekonomicznych. Wulgarność jest zbytkiem, na który mogą sobie pozwalać ludzie bogaci, może sobie zatem pozwalać współczesność.

„W dziedzinie ekonomji politycznej — mówi Huxley — istnieje prawo zwane prawem Greshama, które stwierdza, że jeżeli w państwie krążą dwa rodzaje pieniądza, jeden dobry drugi zły, to zły wypędza dobry i sam pozostaje w obiegu. Moralność i estetyka mają także swoje prawo Greshama. Gdy tylko zajdą odpowiednie okoliczności, zło zawsze usiłuje wyprzeć dobro". Fakt ten —zdaniem Huxley'a—jest nie do usunięcia, gdyż: „To jest cena, którą musimy płacić za przywilej naszego sposobu życia".

Można ostrość tego stanu łagodzić zapomocą wychowania, wzmacniając smak artystyczny i krytycyzm, ucząc odróżniać piękno od brzydoty. Najlepiej niech ludzie słuchają Beethovena i porównują go z krzykliwym jazzem, lub niech porównają romans kryminalny ze „Zbrodnią i Karą" Dostojewskiego.

Na masy mogą uszlachetniająco oddziaływać tylko artyści, a i na nich ciąży największa odpowiedzialność za losy kultury europejskiej. Tylko myśl artystyczna drogą niezawodnych środków, właściwych sztuce, może przyczynić się do intelektualnego odrodzenia Europy i wrócić do wielkich ideałów kultury.

•

Poglądy Valery'ego, Duhamela i Huxleya przypominają radykalizm Oświecenia francuskiego w dziedzinie stosowania zasad filozoficznych w życiu. Ludzie tego typu co Valery, Duhamel, Huxley, to ludzie Oświecenia, ludzie wieku XVIII, ale nie współczesności. Specjalnie jaskrawy jest pod tym względem Huxley. Chłodny, pozbawiony serca, niezwykle poprawny, subtelny, logiczny i pełen ironji przypomina właśnie typowego racjonalistę z w. XVIII-go. Nie odbudują ducha europejskiego ci, którzy drobiazgową analizą i przesadnym racjonalizmu, nie pozostawili mu w rzeczywistości żadnego miejsca. Duch jako zjawisko irracjonalistyczne nie może być ujęty w kategorjach, które same przez się są jego zaprzeczeniem.

KEYSERLING

Keyserling, znakomity znawca filozofji Wschodu, autor książki „Świat, który się tworzy" wystąpił z ciekawą tezą, dotyczącą istotnych cech współczesnej epoki.

Epoka ta jest „wiekiem mas", tem samem „wiekiem przywódców", gdyż masy same ze siebie nie są zdolne do działania. Na tle więc ruchów masowych występuje typ „wodza", mający cechy pogromcy. W wodzu mają masy potrzebny autorytet, który narzuca im organizację i dyscyplinę, daje bezwględną wiarę w zwycięstwo i niezachwiane przekonanie w słuszność bronionej sprawy.

Wódz, to hipnotyzer, trzymający tłumy mocą sugestji. Masa — to bierne tworzywo. I rzecz dziwna: bierność mas urabianych przez wodza i bezwzględnie kierowanych jego wolą, nie jest bynajmniej jakąś chorobliwą rezygnacją, wynikłą z upadku ducha. „Nigdy bowiem — powiada Keyserling — siła życiowa młodzieży nie była tak imponująca. Od wielu wieków, nie widziało się takiego rozmachu, takiego entuzjazmu, takiego optymizmu, takiej radości, jak w Rosji lub w Niemczech i we wszystkich tych krajach, gdzie młodzi odgrywają podobną rolę". Kryzys nie zdołał złamać dusz i dlatego młodzież nastrojona jest rewelacyjnie. „Cała historja — stwierdza K.— wskazuje, że nigdy żadna rewolucja nie była robiona w okresie upadku ducha".

Ale zachodzi wówczas pytanie, skąd pochodzi owa bierność masy?. „Bierność duchowa pochodzi z buntu sił tellurycznych w człowieku — odpowiada Keyserling. Wszystkie te siły są bierne z puktu widzenia duchowego". I dla tego masy dzisiejsze nie mają ani poczucia wolności, ani inicjatywy. Natomiast działają w nich potężne impulsy, którym ludzie bezwzględnie ulegają. Impulsy te tłumią instynkt samozachowawczy, czyniąc śmierć czemś zupełnie naturalnem.

Stąd bohaterstwo i niezłomna wola, stąd pogarda śmierci. Masy dzisiaj podlegają ślepemu napięciu sił twórczych, które są naturalną reakcją na wyjałowienie ducha i mechanizowanie umysłu, na kostnienie pewnych instytucyj i utratę przez rasę sił żywotnych.

Przewaga maszyny w życiu, tyranja zimnych obliczeń, utrata wszelkich autorytetów, doprowadziły do dzisiejszego wybuchu nowych sił i do krystalizowania się nowych wartości. W takich epokach zadania intelektualistów sprowadzają się do pochodu na czele ludzkości, realizującej nieodwołalne przeznaczenia, do kształtowania nowego typu cywilizacji i wiązania jej z przeszłością, do tworzenia nowych impulsów twórczych. Intelektualiści mają zapewnić duchowi właściwe miejsce w nowym, tworzącym się świecie. Jedność ludzkości istnieje tylko w świecie idealnym, a nie w rzeczywistości. Należy jednak pracować nad realizacją ideału wszechludzkiej jedności. Dziś jednak mówi Keyserling: „W świecie polityki niema ludzkości, ale są narody w walce; niema bezinteresownej miłości, a jest głód i strach".

COPPOLA

W ujęciu Coppoli znalazła odbicie głęboka wiara w opatrznościową rolę Rzymu i posłannictwo dziejowe Włoch dzisiejszych: „Niema prawd wiecznych w dziedzinie społecznej i politycznej"... „Życie, wyjąwszy czynności ściśle biologiczne, jest funkcją duchową —Zdaniem Coppoli — duch jest niczem, jeżeli nie oznacza światła, duszy, motoru działalności, syntezy i wyjaśnienia życia". Często popełnia się duże błędy, identyfikując z duchem to wszystko, co jest wytworem psyche ludzkiej, a więc pewne przyzwyczajenia umysłowe, pewne bożyszcza, pewne stworzone przez ludzi ideologje, uznane za nieśmiertelne prawdy, a które w rzeczywistości albo dawno umarły, albo wiodą politowania godny żywot suchotniczy. Prawdy te, to dziś wyświechtane frazesy, za które nikt nie pójdzie walczyć ani umierać. Na imię im: demokracja, równość, wolność, determinizm, ewolucjonizm i t. p.

Dziś stawia się inne ideały. Dziś chodzi o posiadanie celu, któremu warto poświęcić wszystkie siły, o ideje czynu, pojętego jako działalność twórcza, o dyscyplinę i podporządkowanie. Przeżywamy dzisiaj kryzys najcięższy od upadku świata starożytnego. Kryzys ten, to nietylko przesilenie ekonomiczne lub polityczne, lecz przedewszystkiem przesilenie: objektywno - zewnętrzne i subjektywno-wewnętrzne.

Jeżeli chodzi o moment pierwszy, to wynika on z sytuacji międzynarodowej. Europa stoi wobec naporu Wschodu na swoją cywilizację i niezależność. Azja, Afryka i Islam, oto punkty istotne pierwszego przesilenia Europy.

Moment drugi zaczyna się w fakcie tworzenia przez Europę ideologji samobójczej. Ideologja ta, to hojnie przez Azję importowane z Europy doktryny imperjalistyczne i hasła łączenia się, celem realizacji pewnych zadań politycznych. A tymczasem sama Europa podzielona na szereg państewek, zajęła się gwałtownie szerzeniem u siebie pacyfizmu. Reakcja przeciw temu wyszła ze strony młodzieży, która ma dość ideologij niezgodnych z rzeczywistością. Chodzi o harmonję, o zgodność ducha i materji, słowem chodzi o nową syntezę.

Syntezę tę daje dzisiejszy Rzym. Odnalezienie klasycznej harmonji między duchem, a stającą się rzeczywistością, między potrzebami a ideami, co stanowi jedyną możliwość i jedyną pewność odrodzenia i odbudowania ducha europejskiego, odnalezienie tego, to nawrót do ideału rzymskiego".

Rzym wchłonął swego czasu Chrześcijaństwo, które — zdaniem Coppoli—będąc czynnikiem społecznie rozkładowym, gdyż było negacją życia ziemskiego, dzięki duchowi rzymskiemu, dzięki romanizacji zmieniło swój charakter i pod postacią katolicyzmu stało się jedną z sił porządku moralnego, na której zbudowano nową cywilizację.

Możliwe jest, że dzisiaj mamy do czynienia z podobnem zjawiskiem, tylko, że go nikt nie zauważa. Taksamo dziś (jak przed upadkiem Rzymu starożytnego) doktryny wschodnie socjalistyczne, marksistowskie znalazły podatny grunt do rozwoju wśród skłonnych do mistycyzmu ludzi Zachodu. Doktryny te znalazły mistyczne podłoże w Rosji i dały impuls powstania nowego światopoglądu, który zawiera w sobie elementy rozkładowe dla porządku społecznego i cywilizacji europejskiej. I oto Rzym znów wchłonął, zromanizował i skatolicyzował tę mistykę obcą duchowi europejskiemu, ujął ją w karby porządku i uczynił z niej motor, który może być czynnikiem odbudowy życia społecznego i duchowego Europy na wyższej płaszczyźnie.

Siła zmusi Europę i narody europejskie do połączenia się, ekspansja Azji, Afryki, Islamu „żółte niebezpieczeństwo", bolszewizm i nieustający nacisk Ameryki. „Proces ten już się rozpoczął — należy rozbudzić świadomość europejską".

Proces ten się rozpoczął... Coppola oczyma nacjonalisty włoskiego widzi Rzym na czele Europy, połączonej w jedną całość. Ze słów Coppoli bije mocna wiara w posłannictwo dziejowe jego narodu. Coppola — to człowiek dzisiejszy i dlatego bliski wszystkim, którzy widzą w idei narodu ideę naczelną człowieka.

*

W okresie wielkich przemian, jakim jest epoka współczesna, życie bije wzmożonem tętnem i energja społeczną wykazuje spotęgowaną prężność, znajdującą swój wyraz w poszukiwaniu nowych dróg rozwoju. Rodzą się nowe doktryny i nowe systemy społeczne, krystalizują się nowe światopoglądy, tworzą się nowe wartości, oparte o inne niż dotychczas momenty, powstają nowe instytucje. Świat dotychczasowej rzeczywistości zostaje przebudowany.

Czy okres przebudowy można nazwać kryzysem kulturalnym? Niewątpliwie nie. Twórcze siły ducha są spotęgowane, a twórczość — to kultura.

Procesy kulturalne zachodzą zawsze w pewnem środowisku, które rozstrzyga o ich kierunku.

Wasilewski powiada: „uspołecznianie się duszy jest żelaznem prawem kultury europejskiej". Twórcze działanie jest zarazem wiązaniem człowieka ze zbiorowością. Możliwe to jest wyłącznie w środowisku organicznem.

„Takie środowisko nadbudowane nad duszą człowieka, gdzie życie funkcjonuje, jako związek organiczny kultury, z wytwarzaną oryginalnie cywilizacją — to naród"... (Wasilewski). Stąd ścisła łączność problemu kultury z narodem. Życie w narodzie uspołecznia duszę człowieka, a uspołeczniona dusza ludzka stwarza nowe coraz wyższe ideały i dążenia. Naród,Jednostka — Kultura i Cywilizacja tworzą jeden organizm, w którym ma miejsce ustawiczne krążenie i wymiana wartości. Zamyka się w tem całokształt życia duchowego narodu.

Zdzisław Broncel

Lato

Nabrzmiewa serce młodością
Jako w winnicach jagody —
Bogaty słońca patoką
Słoneczne otwieram gody!

Okrzykiem witam swych gości
Wicią zieloną potrząsam
— Błękitem niebo się mości
W obłokach radość dziś pląsa!

Wiatr rozchełstany, hulaszczy
Krąży w weselnych nawrotach,
Zatargał sadem i klaszcze,
Że się z jabłonią szamotał.

Na chmurach, wyrosłych w dali,
W złocistym wyrębie płonie
Słońce — strzaskany dzban malin
Pośród murawy skrwawionej.

Młodzieńcza krasa w koralach —
W czerwiennym owocu drzewa,
Jak w tańcu blask się rozwala
Czerwonym miodem rozlewa.

Pod misą stół się ugina
— Pachnące, jodłowe deski.
Kłoni się ława gościnna
U ścian chaty niebieskich.

Witajcie goście ze świata —
O ludzie smutni i biedni!
W czas żniwnej godziny lata,
Która chleb rodzi powszedni.

Czeka was jasność w domostwie —
Wiosna w kwitnących jaśminach,
Oto na progu gazdostwa
Mojego serca gaździna.

Poprzez rozpaczy bezdroża,
Wiem — szliście na słońca polów,
Radować się w ciszy bożej
Z wszelaką nędzą pospołu.

W dostatniej przyjmę was włości —
Sad, para starych modrzewi —
Może Bóg losy uprości
I cierni nam nie rozkrzewi.

Słodką ukoję was pieśnią —
Na fletniach wieczór przygrywa,
Nikt już nie tęskni boleśnie,
Niczyja łza już nie spływa —

Wśród zmierzchów srebrem się rosi
Gościniec na nieba łące
I w gwiazd sierpniowym pokosie
Noc idzie — sierpem świecąca.

Adolf Nowaczyński

Nippon w opowieści i w prawdzie

WOJNA O... POMORZE.

Nadchodząca wojna o Pomorze (Pomorje), ale wschodnie i azjatyckie rzuca mocny cień... przed siebie.

Wystarczy porównać narastającą z dnia na dzień falę książkowej, czy to fachowej wojskowo - politycznej, czy też literacko - imaginacyjnej produkcji, tyczącej się tego przedmiotu z kilkunastoma zaledwie tomami, które poprzedzały i zapowiadały wojnę europejską, aby sobie uświadomić, jak imponującą, globalną, planetarną „kąpiel stalową“ przygotowuje sobie obecnie uzbrojona teraz już od stóp do głów ludzkość (Humanitas). Wtedy była właściwie jedna ramotka, która wywołała głośny rwetes: Berty Suttner „Waffen nieder“!, tłumaczona na wszelijakie języry i czytana przez carów i cezarów à la Mikołaj, i à la Franz Josef.

Teraz, w r. 1934 cała już piramida Cheopsa z książek, ze zwałów książek a to „precz z wojną!“, a to „jak to będzie“?, a to „kto z kim“?, „kto z kim na noże“?, a „kto i komu pomoże“?... bo właściwie jeszcze to miejscami na globie na stałe nie ułożone i dopiero, gdy się kto z kim definitywnie podecyduje, wtedy „l a b e l l e a v e n t u r e“ się zacznie.

W pierwszej fazie prawdopodobnie będą się starali konflikt zbrojny zlokalizować; cała reszta będzie się tylko przypatrywała (z zapartym wydechem), jak sobie w pierwszej rundzie dwaj partnerzy z a t r u w a j ą życie. Antrakt może trwać wtedy z rok.

Poczem pójdzie już i druga para. I wreszcie reszta, pełna orkiestra, wszyscy panowie jadą, wszystkie państwa zmobilizowane, no, i rzeź, kompletny „szlachtuz“, jatki, mordownia generalna aż do omdlenia i takiego wycieku krwi, żeby z tego mogło być drugie... Czerwone morze.

Niech się martwią tem inni. Ci, co winni. My zaś tymczasem przyglądnijmy się, jak się przygotowuje ta pierwsza para, ta próbna, ta o Pomorze i to szczęśliwym zbiegiem okoliczności (kilku genjalnym ludziom dzięki) nie o nasze Pomorze, lecz o tamto drugie, gdzie Władywostok i Port Artura (Dajren); Juki, Sejsin, Genzan, Czynnampo, Inkou, Weihaiwej, Cintao, Czyfu, Dżinsen, Moppo, Fusan i t. podobne nazwy, które wnet już będziemy się uczyć sylabizować, a potem na pamięć...

CO, GDZIE, JAK I Z KIM

Co, gdzie, jak i z kim, okoliczność tam na Dalekim Wschodzie, to można sobie wyimaginować cokolwieczek przy pomocy kilku książeczek pod ręką będących, przeważnie tłumaczonych. Tylko trzeba przesiewać materjał z nich przez sito albo wprost odkażać i dezynfekować... Autorami bowiem są Żydy, no, i oczywiście komunisty. Ten wabi się wprost Rubinstejn, a tamten Kisch, trzeci nawet nie izraelita, ale bardzo młody, na sławę i karjerę zajadły, a że bardzo inteligentny, więc tylko Jideologji ufa i w nią wierzy (Malraux). Teraz chińską powiastkę (j a r d i n d e s u p p l i c e s) tego komunisty (w Moskwie obecnie przebywającego), daje Warszawie urzędowa „Gazeta Polska“.

Aby mieć ekskuzę przed poważnymi mocodawcami za drukowanie komunistycznej powieści, poprzedziła redakcja druk przetłumaczeniem wstępu, jaki do powieści napisał... Mauriac. To jest atoli tylko pretekst a nie żadne usprawiedliwienie nihilizmu i żemanfiszyzmu.

MAURIAC I MALRAUX

Mauriac jest wychowankiem Ojców Jezuitów. Znać to dokładnie w całym jego mocno perwersyjnym i inkwizytorskim katolicyzmie. Nadto czyha na nieśmiertelność i chce być ze wszystkimi a j o u r. Dlatego Mauriac temu Malraux (laureatowi Goncourtów) kadzi, bo jemu to nie wadzi, a odrazu dlań zyskuje tysiąc recenzentów żydowskich. Zasłanianie się tedy Mauriaciem nic przekonuje.

Fakt pozostaje faktem, że p. Matuszewski złudzony podobieństwem powieściowem Ferrala (Condition humaine) do.... Boussac'a (Girard - ów), podkuszony przez Kadena - Hulkę (Dietrich), obdarza i raczy swoich czytelników powieścią francuskiego komunisty, przebywającego obecnie w pan-semickiej Moskwie. A to jest nie w porządku, nie na miejscu i bez sensu. Ta powieść bowiem kwalifikowała się raczej do „Naprzodu“ Haeckera lub do „Robotnika“ (Litauera i Liebermana), ewentualnie do „Dwutygodnika Literackiego“, lub wprost dla „Naszego Przeglądu“.

KOMUNISTYCZNE UTALENTOWAŃCE.

Wygląda to tem jaskrawiej i tem drastyczniej, ponieważ my obecnie jesteśmy wogóle zasypywani wprost literaturą komunistyczną. Nie mamy na myśli tłumaczonej sowieckiej, ale swojską i rodzimą. Co wziąć do ręki i przeczytać do końca tom jakiegoś utalentowańca, to utalentowaniec okazuje się albo komunistką, albo rewolucjonerem, przeważnie jawnym, albo i pseudonimowym (Kwaśniacy), ale artystyczna wartość — bywa, że i pierwszorzędna. Tłumaczy się już właściwie tylko komunistów, beletrystów, essaistów i reportarzowców. W sezonie 1933 — 1934 powstał cały szereg wydawniczych firm semickich, prosperujących tylko z nakładów komunistycznych. Albo jawne, albo pseudonimowe.

Tak dalej być nie powinno! Chyba, że istotnie chcemy „d o p o M u s s o l i n i“ być przyłączeni w całości do Związku Republik Radzieckich i do tego zdążając konsekwentnie, wychowujemy i edukujemy odpowiednio stołeczną inteligencję już teraz w duchu skrajnie filosowieckim. Jeżeli tak, to zgoda i owszem i niech żyją Fruchtman, Rubinstejn („Szlakiem Samurajów“), Malraux i Kisch! Ale jeżeli jednak nie, to byłaby pora temu rozpasaniu wydawniczemu beletrystyki i reportażu komunistycznego jednak jakąś tamę położyć.

PASZKWIL NA JAPONJĘ

Tak ten nikczemny paszkwil Rubinstajna na Japonję, jak i kicz Kischa o „Chinach bez Maski“, napisane są z dużym talentem i oczywiście z dużą inteligencją specjalną: jid - teligencją. Autor sowiecki przedrzeźnia i małpuje manierę i styl Dreisera. W podrabianiu bywają majstrami bez konkurencji. Każdy nowy styl, czy nowy izm, już na drugi dzień ma doskonale fałszujących imitatorów. Będzie Rostand, to będzie potem Sem Benelli w Rzymie. Będą powieści o familjach w Anglji i we Francji, to zaraz potem podpatrzy to Feuchtwanger i Asch czy Arsch; Lyttona-Stracheya i lorda Raglana będą podrabiali na drugi zaraz saeson Emil Ludwig (Cohn) i André „Maurois“ (Herzog). Dreisera zaś nowojorski chaos w japońskiej edycji daje Rubinstejn.

W r. 1926 był w Japonji Borys Pilniak. I dał o tem potem wojaż („Promienie Japońskiego Słońca“), pono spokojny, objektywny, nieco sarkastyczny, ale nie jadowity i nie podżegający. Niedawno znów dał książkę o Japonji A. Fadjejew („Dziewiętnastu Wojaków“). Że atoli semita, więc tendencja książki już pono zajadła, zapiekła, podrażniająca nianawiść rasową i socjalną. Tak jak swego czasu podżegali Niemców Wilhelma II na Anglików (Lissauer, Kempner - Kerz, Lewy, Rathenau etc.), tak teraz podżegają Moskali na Japońców. Cały świat podżegają teraz do wojny z Niemcami, a Sowiety znów specjalnie na cesarską, feudalną, kapitalistyczną, admiralsko - generalską, religijną i patrjotyczną Japonję. Chcieliby zniszczyć i obłożyć bombami cesarskie Tokjo! Nippon, Jamato („duch Nipponu“), Kodo - Shinto (dekalog wyspiarskiego nacjonalizmu), Kigensetsu (kult cesarski) dla tych Rubinstajnów, Sobelsohnów, Handelsmanów, Rajchmanów, Zussmanów to są poprostu Antypody i coś, co musi być zepsute, złamane, zdeptane, zniszczone. Taki skryba sowiecki z Ghetta dławi się wprost nienawiścią na sam widok oficera marynarki J. C. Mości. Jakaż bo przepaść leży między płazem ze szlamu i błota, a jastrzębiem, czy orłem! Tu wcielenie honoru, a tam inkarnacja szwindlu. Tu cesarz (160-ty z dynastji) i marynarka i awiacja J. C. Mości, a tam zadyszane, wrzaskliwe, wrzeszczące reportery, grubo płatne przez organy Shylokracji, pół szpiegi, pół poety.

FENICJANIE I SPARTANIE.

Dwóch przyjechało do Szanghaju. Może stanęli w tym samym „Hotel Esplanade“ (francuska koncesja), Rubinstejn z Moskwy, Kirsch z Wiednia, a raczej z Pragi. Kirscha nazywają koledzy czołobitnie „d e r r a s e n d e R e p o r t e r“. I żydek lingwista istotnie myszuggeniusz „szaleje“. Co miesiąc, co kwartał gdzieindziej i zaraz nowy tom. Sven Hediny zapuszczają się w głąb terenów, siedzą tam całemi miesiącami, latami, a czasami wiążą ich Chunchuzy lub zjadają... Samojedzi. Kirsch lub Rubinstajn nigdy w głąb! Szkoda czasu! Wystarczy: hotel, Welthotel: Esplanada, Astoria, Imperial (Teikoku) w Tokjo, „Prince of Walce“ w Singapore, „Rule Britannia“ w Samarkandzie. Wystarczy miesiąc lub tydzień. I jest książka Besserwissera.

Co wywęszą, co wykradną, co przepiszą, co podsłyszą, to do książki. I jest gotów nowy kicz Kischa lub powieść a la Dreiser Rubinstajna. Dziadek Kisch odstawiał do miasteczka fałszowane mleko, wnuk Kisch (Egon) odstawia dla Europy fałszowaną Bucharę, fałszowane Chiny, paszkwile na Japonję, argumenty i alarmy o zbrojeniach Niemców i o pauperyzacji żydów w Polsce. A równocześnie z nim szkalują Japonję i p. Sauerwein dla „Paris Soir“ (siedzi w Tokjo) i p. „Walden“ (recte Czyński, recte Chwat) dla „Daily Telegraphu“ i stu i tysiąc innych. Syjon nienawidzi Nipponu. I już mu w horoskopach wojennych niedobrze wróżyli i Trockij Lew Dawydowicz (3 artykuły) i Herbert Samuel i waszyngtoński Morgenthau junior. I szkalują Nippon co tydzień i „V u“ i „L u“ i „M a r i a n n e“ i „C y r a n o“. Taksamo Fenicjanie musieli nienawidzieć Spartan a mieszkańcy Sodomc i Gomorre legjonistów rzymskich.

SYNOWIE SŁOŃCA.

Do ognia globowo skomponowanej propagandy antyjapońskiej (antychrześcijańskiej) dolewają sporo oliwy także i sami poddani J. C. Mości. Jest tam bowiem wolność prasy, więc jest i wolność w literaturze. Toteż i pozwalają sobie niektórzy fantaści na fantastyczne rekordy imperialistyczne, co się zowie i co ślina na język przyniesie.

Zdrową megalomanję militarną Synów Słońca wyzyskują skrzętnie i skrupulatnie Synowie Izraela. Przeszło 20 powieści i nowel fantastycznych o przyszłej wojnie, o przyszłych zwycięstwach i zdobyczach popisali sobie w gorącej wodzie kąpami (wytrzymują 83 stopnie w wannie) literaci, przydzieleni do różnych nacjonalistycznych i faszystowskich bractw, bundów i organizacyj. Zagalopowali się niektórzy dość daleko wgiąb różnych lądów i terenów na papierze (zresztą najwytworniejszym pod słońcem) łatwo zdobytych. Najniepotrzebniej w świecie powywoływali różnych wilków z lasów i rozbudzili kontrakcje profilaktyczne zapobiegawcze.

PIERWSZA ANEKSJA.

Wiecznie żywotną potęgę i działanie literatury pięknej demonstrowaćby tu z okazji można na dwóch przykładach.

Dziennik „Hinodo“, więc drugorzędny, nie jeden z tych co rezydują w gmachach trzydziestopiętrowych i mają własny s e r v i c e... aeroplanowy, drukował taką sobie noweleczkę futurystyczną. Napisał to aktywny kapitan marynarki Kijosuke Fukunaga. Wizja amerykańsko-japońska. Rok 1936. Komendant torpedowca Makai Eitaro samowolnie wysadza w stratosferę pancerniczek yankesoski „Houstom“. Kapitan Makai idzie pod sąd wojenny. Ale naród za nim, 70 miljonów! Stąd i wojna. Rzecz prosta: zwyciężamy. Kanał Panamski zatarasowany wysadzonym dreadnoughtem „Oklahoma“. Same zwycięstwa. Hawai i Filipiny do Nipponu. W Honolulu staje wspaniały pomnik kapitana Makai Eitaro.

Nowelę skonfiskowano. Ale na angielskie przetłumaczono a amerykohny w szał radości. Poczem zaraz wzmocnienie Panamskiego, rajd lotniczy na wyspy Hawajskie, no i stałe cytowanie przez wszystkich press-bubów autora i nowelki.

DRUGA ANEKSJA.

To samo z drugim autorem Ikodzaki Toszuko. Taksamo dużo zwycięstw, dużo aneksyj, z Australją bardzo krucho, Chiny omal całe. Rezultat: wielka g l o i r e i popularność pisaticla-fantasty, no i... szybkie fortyfikowanie Singapore. „Und das hat mit Ihrem S i n g e n die Lorelei getan“. Press-buby i grand-Oldmany i Goldmany z „Manchester Guardiana“ dzień w dzień cytują to Fukunagę to Ikodzaki dla demonstrowania grozy „żółtego niebezpieczeństwa“.

Solidnie, uczciwie, objektywnie a miejscami prześlicznie opisywał nam kraj Chryzantem i Rizu... Pomorzanin z krwi i kości Janta-Połczyński, globtrotter d i p r i m o c a r t e l l o.

Niektóre listy (o Sachalinie, reminiscencjach, misjonarzach Polakach, starcach wygnańcach z r. 1863), były do głębi wzruszające. Należałoby to prędzej wydać w książce, jako antidotum na... Malraux, Rubinstajna i kicz Kischa.

I takich samych książek jeszcze więcej, jeszcze dużo. I całego Lafcadio Hearna spowrotem w popularnem wydaniu. I jeszcze tam wysłać kilku, ale Polaków, oczywiście, nie Orłowów ani Sokołowów. Nasze miejsce jest ręka w rękę przy nich, całą duszą, całem sercem, opancerzoną prawicą i do ostatka sił. Inaczej s e l f e x t e r m i n a t i o n, samozagłada, samounicestwienie w rządzonych przez... Rubinstejnów „Zjednoczonych Stanach“ skomunizowanej słowiańszczyzny.

Aleksander Sendlikowski

Chorągiew z czerwonem kołem

Prasa całego świata donosiła niedawno o zatonięciu małego krążownika japońskiego „Tomotsuru“. Poszedł na dno, stając się trumną dla załogi. Gdy po katastrofie nurkowie zapuścili się w morze i dosięgnęli krążownika, rozpoczynając prace nad jego wydobyciem, znaleźli we wnętrzu zatopionego statku trupy marynarzy i szereg napisów, wyciętych na ścianie ich podmorskiego grobowca. Napisy te ryli marynarze w ostatnich godzinach życia, gdy już śmierć zaglądała im w oczy, gdy wiedzieli spewnością, że na ratunek wszelki jest stanowczo za późno, że niema żadnej nadziei. Nadchodziła śmierć przez powolne uduszenie, długie godziny konania w męczarni. Przeraźliwa groza. I w tym czasie, gdy już droga ratunku została zamknięta, żołnierze wypisywali krótkie ostatnie słowa pożegnania. Jedno z nich utkwiło mi silnie w pamięci: „Nareszcie nadszedł dla mnie moment złożenia życia w ofierze ojczyźnie. Modlę się o pomyślność i szczęście dla Japonji. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy“. A oto oficer wyrył: „Wszyscy samurajowie, mężowie japońscy, umierają zawsze z radosnem sercem“. Inne napisy brzmiały podobnie mocno, pewnie.

Co za spokój, hart, bohaterstwo. Co za wielkość żołnierzy, pogarda śmierci, miłość ojczyzny. Tu nie było sztuczności, ani blagi, ani propagandy. Nie służy się propagandzie, gdy śmierć na szyi zaciska swe palce.

„Szlak samurajów“ *) — dumny szlak, wielki szlak. Ogromnie aktualny, interesujący temat. Szczególniej dziś. Na Dalekim Wschodzie kipi. Szykują się nowe krwawe wypadki. Znów rozwinie się japońska chorągiew z czerwonem kołem, ze wschodzącem słońcem. Bandy chunchuzów niszczą Mandżurję, mordują, palą, sięgają aż ku Chinom Północnym. Od północy może przyjść ogień. Japonja wstąpi na swoją drogę, na „szlak samurajów“.

Szeroko w świecie znane jest poświęcenie, bohaterstwo Japończyków. Gotowość do ofiar, do służenia ojczyźnie krwią i życiem. Każda wojna z Japonją przynosi wielki ich plon. Choćby Cuszima, Port Artur.

„Szlak samurajów“ jest właśnie opowieścią o bohaterstwie japońskiem. O bohaterskiej kompanji 71 pułku japońskich strzelców, walczących z chunchuzami w Mandżurji. Kompanja za dzielność została dźwignięta do godności „kompanji samurajów“.

„Szlak samurajów“ jest dziwną opowieścią: autor chce przeciwstawić się apoteozie bohaterstwa — chce wykazać, że jest ono czemś narzuconem przez system, wplecionem w wychowanie, zapuszczonem w dusze. Że jest to bohaterstwo systemu, przymus moralny, stawiający alternatywę: albo będziesz bohaterem — albo musisz zginąć. Konieczność bohaterstwa. Całość książki jest dowodzeniem tej tezy, próbą rozładowywania i niweczenia naszego podziwu dla rycerskości japońskiego narodu.

Karabiny maszynowe wśród wulkanów. Walka pośród kamiennych parkanów, masy drzew wiśniowych, koralowych zachodów, domków z papierowemi werandami. Poezja i giełda. Małe fanzy stojące w ogniu. Tokjo. Osaka. Szanghaj. Charbin. Jokohama. Zapach tanich zajazdów i tło potężnego Fudżi. A wśród tego wszystkiego „kompanja samurajów“ bądź występująca jako całość, bądź reprezentowana pojedyńczo przez swoich żołnierzy.

Wszystko tu — zdaniem autora — jest wyuczone, wymuszone, narzucone. Niema żadnej ślepej, instynktownej miłości ojczyzny, cesarza. Wbija się ją w głowę japońskiemu chłopu, tak że przestaje on czuć i myśleć. Wierzy tylko. Ale ta wiara może się załamać i musi się załamać, gdy nastąpi skrzyżowanie z własnemi odczuciami, dążeniami.

Tak więc szeregowiec Tanaka z „kompanji samurajów“ strzela styłu do kapitana, który każe mu kierować ogień karabinu maszynowego przeciw mieszkańcom jego wsi. Drugi szeregowiec ucieka, bo nie może rozstrzelać swego towarzysza z kompanji, studenta Itsjihawę, karanego śmiercią za szerzenie w armji komunizmu. To znów „latający ogień“ bohaterski lotnik japoński, por. Takajanagkhi, buntuje się, bo społeczeństwo zamyka się przed nim, gdy powraca z niewoli. Z tarczą, albo na tarczy. Żołnierz japoński ma nie znać niewoli. Takajanagki nie może zdobyć się na harakiri, jak tego wymaga karność narodowa, musi się kryć, uciekać z kraju.

Takich konfliktów jest więcej. Kończy się wszystko zbiorowym buntem kompanji, sądem wojennym, rozstrzelaniem.

Teza autora zdawałaby się udowodniona. Jest jednak inaczej. Czujemy aż nadto jej nieszczerość, nierzeczywistość. Nie znaczy to, abyśmy nie uznawali, że etyka bohaterstwa dyktuje karność, świadomość narodowa. Ale decyduje idea, nie system. A konflikty, chociaż tragiczne, niczemu nie przeczą. Cóż można przeciwstawić bohaterskiemu poświęceniu się dla narodu. Autor nie daje odpowiedzi — wskazuje samą tylko negację, sympatyzując żywo z komunizmem. Czy jednak komunizm dla swych celów idzie inną drogą, czy nie szuka oparcia w narzuceniu systemu, dla urzeczywistnienia swoich celów? Czyż z bardzo drobną modyfikacją te same konflikty nie mogłyby się rozegrać w państwie, w społeczeństwie komunistycznem. Czy np. Sowiety nie każą mordować oddziałom O. G. P. U. kułaków, strzelać do wsi, czy tolerują wywrotową robotę we własnej komunistycznej armji? Nie. A więc założenie autora musi ulec bankructwu, chyba że opowiedzielibyśmy się za zupełnym anarchizmem, ale taki jest wogóle w życiu społecznem niemożliwy, bo nie da się urzeczywistnić.

„Szlak samurajów“ jest powieścią, której stronę negatywną należało zakwestjonować, której nie wolno było uznać. Ale posiada wiele momentów interesujących; powieść pisana jest pierwszorzędnie. Sięgnijmy do tekstów. „Portowe uliczki rozkwitały już pstremi, kolorowemi lampionami. W przytulonych do ziemi domkach strojono już sjamiseny. I Fudżi biało-różowy na zachodzie kąpał się w niebie, jak strzęp zabarwionej krwią gazy“ (str. 149). Opis walki. W środku grupy fanz błysnęła rozdarta ognista płachta. Jakgdyby z powietrza powstała śnieżno-bura masa dymu z długiemi wijącemi się frendzlami na brzegach. Góry zadrżały, a głuchy, ciężki łoskot rozległ się nad wulkanami. Z fanz wybiegły czarne postacie i rzuciły się po zboczach ku górze. Drugi słup dymu. Łoskot. Głuchy, metaliczny warkot motorów. Znów słup. Nad impaniem wystrzeliły w górę skośne języki płomieni. Fanzy płonęły“ (str. 55).

A dla rozmaitości weźmy opis, świetnie parodjujący zainteresowanie świata wypadkami na Dalekim Wschodzie: „I rzeczywiście, świat cały podnosi głowę i wsłuchuje się. Amerykańscy reporterzy latają samolotami bombowemi z ołówkiem w ręce. Znakomita Flora Moor biegnie do ataku z aparatem i nakręca film dla Paramountu. Walkę nadaje się przez radjo na genewską konferencję. W szkołach japońskich włącza się radjo podczas lekcyj, poświęconych nauce o państwie. Nawet w Monte-Carlo krupierzy, zamiast „rouge et noir“ krzyczą: „Japonja“ i „Liga“ (str. 137).

Może mimowoli dał również autor znakomitą charakterystykę podstaw fanatycznego imperjalizmu Japonji. Trzy główne zasady: „Pierwsza zasada: żółta rasa musi ocalić świat. Amerykanie wymyślili humanitaryzm, a Rosjanie bolszewizm. Lecz poglądy te są błędne! Świat ocali męstwo wojenne żółtej rasy“. „Druga zasada: Chińczycy nie należą do żółtej rasy. Prawdziwa żółta rasa, to Japończycy, Mandżurowie i plemiona, mieszkające na wschód od Bajkału. Chińczycy zaś przesiąknęli krwią setki narodów. Pochodzą od wszystkich ludów potrosze, między innemi również od Amerykanów(!). A uratować świat może tylko czysta rasa“. „Trzecia zasada: liczne kraje zazdroszczą Japonji i pragną ją zniszczyć. Wszystkie żółte narody, które wyliczyłem — to przyjaciele cesarza. Reszta — to jego wrogowie. Największymi wrogami cesarza są Chińczycy, Rosjanie i Amerykanie“. A dalej wezwanie do żołnierzy: „Posłano was tutaj, abyście dokonali dzieła zjednoczenia żółtej rasy i zbawili przez to świat. Aby wyzwolić Chiny, trzeba wyzwolić Mandżurję. Aby wyzwolić Azję, trzeba wyzwolić Chiny. Wtedy pozostaje nam dokonanie dzieła wyzwolenia Indyj, Australji, Europy i dowiedzenia wyższości rasy Jamato“ (str. 34, 35).

Oto kuźnia narodowego fanatyzmu. Ślepa ufność w konieczność realizowania przeznaczeń narodu. Ośrodkiem narodu jest jego ekspansywna siła: armja. Musi być ona silna, moralnie czysta. Musi być bohaterska, pełna bezgranicznego poświęcenia.

Drzewo wiśniowe jest symbolem piękna i żywotności duszy japońskiej—Jamato Damasi. Symbolem ekspansji japońskiej jest jej żołnierz. Jego siła, jego bohaterstwo jest emanacją woli japońskiego narodu — inna sprawa, w jaki sposób wola ta jest realizowana. Tego właśnie nie chciał dostrzec, zapatrzony w sierp i młot, autor „Szlaku samurajów“.

*) Szlak samurajów. L. Rubinstein. Warszawa 1934. Tow. Wydawnicze „Rój“. Str. 261.

nej Audy. Niebieskie latarnie ciężarowycn samochodów rzucały ponure błyski. Elektrotechnicy upadali ze zmęczenia; lampy łukowe ćwierkały; rozgrzana blacha pękała z trzaskiem. Bywało, że mechanicy zasypiali przy pracy i walili się z niebotycznych rusztowań. Hautducoeur nie miał już siły deklamować patetycznym stylem.

— Zostawię tu moje kości — jęczał boleściwie.

— Aktorzy są tylko narzędziami — odpowiadał Tatarin — manipuluję nimi jak chcę. Grunt by dobrze utrafić „spot". O nic innego nie chodzi.

I w dalszym ciągu, nieczuły na cierpienia, kazał im skakać, na dźwięk gwizdka, niby policjant regulujący ruch uliczny.

— To nie wypada, tak na nas gwizdać — zauważył Hautducoeur, który za każdym razem podskakiwał ze zdenerwowania.

Pomniejsi członkowie zespołu wzdychali rozpaczliwie.

XX.

KRON W NOWYM YORKU.

Kron wylądował w Nowym Yorku po sześciodniowej burzy. Owe oderwane epizody filmu „*France la Doulce*" stanowiły jego bezsporną własność. Ukrywał je w nocy pod poduszką, sypiał na blaszankach, podczas gdy olbrzymie fale przewalały się przez pokład, a gdy na dźwięk gongu schodzono do jadalni trzeciej klasy, zabierał je ze sobą i trzymał podczas jedzenia na kolanach. Stanowiły one dla niego dorobek wielu pracowitych nocy i rozpaczliwych dni, gdy się mozolił w obcym kraju wykonywując pracę, o której nie miał pojęcia.

Kron zachował wiarę we własne siły, co więcej był przekonany, że niektóre filmowe epizody udały mu się cudownie. Pragnął pokazać je znawcom. Niech tylko przekroczy celną granicę — Ameryka stanie się jego

Nagle rozdźwięczał się telefon.

— Aloo! Tutaj Beaulieu... Alooo! Kanapeżan? Tutaj Jacobi... Co takiego? Siedzicie po ciemku? A co ja na to poradzę? Co takiego? Mechanicy pochowali reflektory i strajkują? powiada pan, że Kompanja elektryczna południowego wybrzeża przerwała dopływ światła? Świnie... Chcą pieniędzy? Dwadzieścia tysięcy? A czy oni mają biuro w Paryżu? Tak? Na ulicy Petits Champs? Załatwione. Zapłacimy. Nie niepokój się pan. Za godzinę będziecie mieli światło.

Jacobi powiesił słuchawkę, popatrzał na zegarek i zadzwonił na pannę Lee.

— Miałem tylko co telefon z Beaulieu...

— Jakto? — zdziwiła się sekretarka? — to my jeszcze mamy prawo posługiwać się międzymiastowym telefonem? Przecież z poczty zawiadomiono nas, że jeżeli nie zapłacimy zaległości, zamkną nam telefon.

Jacobi wzruszył ramionami i podpisał czek.

— Idź pani zaraz na rue des Petits Champs. Trzeba jechać taksówką. Kalitrich, czy pan masz dziesięć franków, na taksówkę?

XVIII.

FRANCUZI SĄ TACY MAŁOSTKOWI...

...Zdumiewające. Kalitrich miał rację. „*France la Doulce*" przeistoczyła się z niemieckiej w rosyjską. Dawniej nakręcano ją w dzień, teraz pracowano nocami. Zredukowano Taubesohna, Jagervogla i fryzjera Warum, a zastąpiono ich panami Nikitowem, Pawłowem, Dołgorukim i Iwanowem. Studio w Beaulieu przekształciło się w gniazdo białogwardzistów. Nad stołem reżysera zawisł portret cara, a w kątach złociły się ikony. Najmizerniejsza szwaczka była księżną, najmniej ważny statysta — jenerałem, najskromniejszy elektrotechnik — pułkownikiem powietrznej armji. Całe to bractwo wypełzło z tanich pensjonatów nicejskich, z okolic Riquier, Mont Boron, Bocca i cerkwi — gdzie dotychczas gnieździli się pijąc herbatę ze słoików od konfitur, snując samobójcze pro-

aktorowi odszkodowanie i sprowadzać go z Paryża codziennie, drogą powietrzną, aby nie przerywać zdjęć. Hautducoeur figurował w pierwszych scenach „*France la Doulce*", które musiano powtórzyć, gdyż taśma uległa uszkodzeniu. Dnia 25 listopada przyszła kolej na gwiazdora angielskiego Hitbottoma, który został wezwany do Londynu, na próby świątecznego misterjum. Tatarin pojechał za nim do Londynu, razem ze swoimi Rosjanami gwoli dokończenia wersji angielskiej, ale mgła listopadowa źle działała na jego słowiańską duszę. Z Londynem miał związane przykre wspomnienia, umarła mu tam przed laty na suchoty, kochanka, słynna gwiazda. W rezultacie zamiast nakręcać film trawił noce na układaniu projektów filmu, osnutego na tle życia umarłej kochanki, no a potem zaczynał płakać i nie było mowy o pracy.

Do Beaulieu wrócił dopiero około Nowego Roku. W stúdio panował zamęt. Mameluco nie otrzymał od trzech miesięcy ani grosza, gaży, więc samowolnie zajął miejsce Tatari-

na i skorzystał z jego nieobecności, by nakręcić wśród skał nadbrzeżnych całą serję pornograficznych filmów, które natychmiast sprzedał do Marsylji. Lecz policja miejscowa zatrzymała chytrego Syryjczyka i wysiedliła go z Francji.

*

O Roncevaux nie warto gadać — ale dla całości obrazu trzeba zdać relację z tego, co tam zaszło. Tatarin odmówił kategorycznie popasania w wąwozie, gdyż sceny zbrojnych starć odgrywane były przez wojowników w przyłbicach, a bez kobiet można było wogóle się obejść. Wewnątrz garażu, wśród szczątków jakiegoś Forda rdzewiały zbroje, hełmy, toledańskie sztylety i legendarny miecz Durandal. Zniknęły tłumy gawiedzi i zagranicznych korespondentów, polujących na sensację. Pozostała do odegrania jedna wielka bitwa, oraz wejście tryumfalne Karola Wielkiego, który miał wyrecytować tylko dwa wiersze, lecz na nieszczęście słońce nie

tłum statystów napadł na Jacobiego odbywającego inspekcję i dyrektor musiał ratować się ucieczką naprzełaj przez góry. Porzucił wtedy swoją piękną limuzynę, a statyści podpalili mu ją.

— Czy panowie jesteście kapłanami Sztuki, tak czy nie? — wrzeszczał Tatarin.

— *Aloura* — gadaj pan co chcesz, ale żeby to szło prędzej — odpowiadali robotnicy, w narzeczu nicejskiem.

Lecz kapłanom Piękna nie wypada przyspieszać kroku, ani przejmować się sprawami pieniężnemi. Tatarin odprawił statystów pochodzenia żydowskiego i podarł scenarjusz, poprawiony przez panią Jacobi. Wszędzie walały się strzępy zniszczonych kontraktów. Sprowadził samolotami autentycznych saracenów z Arabji, polecił zburzyć i odbudować apartamenty pięknej Aude. Z Algieru przybył transport wierzchowców arabskich, kupionych na wagę złota od bogatych szeików. Zamówiono telegraficznie węże w Indjach, a lwy w Etjopji. Szampan lał się strumieniami, aż do świtu. W wykazach mnożyły się nadprogramowe godziny pracy — osiągnięto niebawem rekordową cyfrę pięćdziesięciu tysięcy franków, dziennego rozchodu. Wreszcie Tatarin otrzymał rozkaz natychmiastowego stawienia się w Paryżu. Udał się tam specjal-

jekty i warjując z tęsknoty. Dzielili się oni na klany i grupy, zgorzkniałe i kłótliwe, ale niezwykle solidarne, gdy trzeba było stawić czoła tym świniom cudzoziemcom. Oficerowie gwardji i admirałowie składali sobie wzajemnie uniżone ukłony, a jednocześnie robili sobie wzajemnie tysiące przykrości. Mieszkańcy Nicei mogli śmiało zastosować do emigrantów swoje stare przysłowie: —

„*Gen de guerra e de marin-son de la meme farina...*“ *

Trzeba jednak było przejść przez moskiewską próbę, skoro postanowiono zaangażować Tatarina. Nie da się zaprzeczyć, że niezdecydowany Narcyz był do pewnego stopnia genjuszem. Potrafił przekształcić pannę Tetard na piękność klasyczną, a Hautducoeur na utalentowanego aktora. Każdy metr taśmy filmowej zawierał teraz ekstrakt najczystszej fantazji i wizjonerskich pomysłów. Przestano

* „Wojskowi i marynarze z jednej lepieni są mąki..“

nakręcać film w blaskach słońca, jako że Tatarin budził się dopiero u schyłku dnia. W ciche noce przepojone wonią jaśminów i pomarańczowego kwiecia przechodnie podziwiali purpurową łunę, która zapalała się na całym wybrzeżu od Cap d'Ail do wąwozu Villefranche, przesłaniała gniewny księżyc i gasiła gwiazdy. To czarnoksiężnik Tatarin zaczynał swą nocną pracę. Wytwornie ubrany, w jedwabnej koszuli łososiowego koloru, siedział w wygodnym fotelu, pogrążony zda się w marzeniach. — „Myślę ciągle — nie śpię nigdy“ — mawiał z kabotyńskim akcentem. Czasami myślenie kosztowało go tak wiele, że musiał odpoczywać przez czas dłuższy w swoim gabinecie, gdzie sobie ustawił polowe łoże, zasłane prześcieradłami z krepdeszyny, z haftowanemi inicjałami. W takich razach wszyscy cierpliwie czekali, aż Tatarinowi przejdzie migrena. Wracał pełen pomysłów, przyciskając do żołądka gumową grzejkę, a na dany znak reflektory znowu puszczały snopy błękitnego światła, na historyczne postacie Karola Wielkiego i Pięk-

nym pociągiem razem ze sztabem. Rosjanin nie zdziwił się wcale, gdy mu oświadczono, że siódmy miljon został wydany co do grosza.

— To bardzo niewiele, jak na superszlagier — odpowiedział spokojnie. — Cóż kiedy Francuzi są tak małostkowi...

XIX.

BLASKI I NĘDZE SŁODKIEJ FRANCJI.

Twórca filmu z gatunku super-szlagierów czuje się w obowiązku stosować tę samą metodę, gdy chodzi o udźwiękowienie filmu. *Noblesse oblige.* Okazało się, że aparatura w Beaulieu jest wadliwa, więc Tatarin wywiózł wszystkich aktorów na dwa tygodnie do Wiednia, gdzie najnowsze laboratorja niebawem jęły rozbrzmiewać rytmicznemi jękami, umierającego Rolanda. Specjaliści zajęli się synchronizacją, melodyjnych jęków legendarnego rogu. Minorowe „a“ trwające nieskończenie długo, wywoływało rozdzierający efekt i powinno była wycisnąć łzy z oczów trzydziestu miljonów widzów.

Do Beaulieu powrócono siódmego listopada. Hautducoeur musiał wrócić do Paryża, gdzie wystawiano w Odeonie Britannikusa. Kontrast wygasł — trzeba więc było płacić

chciało wyjrzeć z za chmur, które od sześciu tygodni zasłaniały niebo. W obrazie z Karolem Wielkim mieli wziąć udział „biedacy“, więc tłum biedaków czekał odpowiedniej chwili, zabijając nudę sprzeczkami. Byli to zresztą starzy znajomi: — poznali się w studio Beaulieu, kochali się w Wiedniu, pogardzali sobą w Sztokholmie, pogodzili się w Rzymie a znienawidzili się na dobre w Pirenejach. W małych kawiarenkach w Saint Jean Pied de Port kłóciły się zdenerwowane niedostatkiem i zimnem, zgłodniałe statystki, które zajmowały się wróżeniem z kart. Kozacy polowali, a dzieci francuskie i angielskie, które miały witać Karola Wielkiego wracającego z Saragossy, dygotały z zimna w lekkich ubrankach i biły się w kantynie.

— Ja chcę być pierwszy. Wszystkim dam po łbie, jeśli nie będę stać w pierwszym rzędzie.

— *Shut up you swine.*

— Mamusia mówi, że moje rzęsy nadają się do zbliżeń.

— Masz rzęsy jak ciele — płaskie, gęste... Fe!

Nawet charty pięknej Audy gryzły się z nudów, a zdziczałe konie rycerzy towarzyszących Karolowi, rozbiegły się po górach.

Codziennie o świcie fryzjerzy szminkowali piękne, wyniszczone twarze statystów, strojnych w historyczne łachy. Później deszcz jesienny zmywał szminkę i niszczył ubrania. Reżyser czekał cierpliwie do godziny jedenastej, nie spuszczając wzroku z posępnego nieba, a gdy nie było już żadnej nadziei wypłacało się statystom połowę należności i wypędzało się ich, niby stado zwierząt, do koryta.

— Idźcie jeść!

Schodzono tedy do miasta błotnistemi drogami, na których sterczały gdzieniegdzie porzucone platformy. Kobiety miały na sobie wiotkie, jak kalka płaszczyki, a mężczyźni paradowali w starych żołnierskich kapotach kolonjalnych pułków. Każdy z nich starannie unikał spotkania z żandarmami. Żaden z kierowników Eterfilmu nie miał odwagi tu przybyć od czasu pamiętnego dnia, kiedy to

własnością. Tak sobie powtarzał podczas bezsennych nocy.

— Ale komu sprzedać? Co pokażemy kupcom? Zresztą wiedzą oni dobrze, że nie mamy negatywu. Wszędzie kręcą się ich szpicle.

— Ja już o tem myślałem — odezwał się poważnym tonem Hermeticos — trzebaby wydać wielki obiad, na cześć właścicieli kin.

— Któż to zapłaci? — zapytał Jacobi. — Kuchnia, to nie kino. Na kredę pan nie dostaniesz bankietu.

— Ależ przeciwnie — upierał się Kalitrich — to nie chwila, na targowanie się o parę groszy. Zaraz zawiadomimy prasę, że nasz film będzie wyświetlany w „Ciné-Triomphe“ (sala na placu Etoile jeszcze nie jest wykończona). Podejmuję się wydzierżawić bufet i bar-dancing temu, kto nam urządzi na kredyt obiad, na osiemdziesiąt osób.

— Idź pan — żachnął się Sacher — to stary kawał. Poco zaraz psiedstawienie. Co pan im pokażesz — co? Ja mam nowy pomysł. Co panowie powiecie do intymny

fajf — z coctailem. Goście piją — a my głośno czytamy scenarjusz? dobry kawał co? To ich podchlebi? no nie?

— Pomysł do luftu. Kupcy z bałtyckich krajów każą obciąć początek, kolonje francuskie zamówią inne zakończenie. Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść — zauważył Hermeticos, obracając w palcach bursztynowe ziarnka muzułmańskiego różańca.

— Uj, niedobrze — westchnął Jacobi. — Zapomniałem też powiedzieć, że dostałem depeszę od Tatarina. Chce pieniędzy.

— No...

— Odpowiedziałem mu tak — jeśli panu zapłacimy teraz, to zrobimy plajtę. Nie zapominaj pan, że pański ojciec, staruszek, jest członkiem zarządu Eterfilmu. Ofiarowaliśmy mu przecież zaszczytne miejsce w radzie nadzorczej. Chyba pan nie chce być synem bankruta?

— Byczo.

— Jakie to nadzwyczajne, że gdy chodzi o film zawsze wszystko da się zrobić — rzekł pokrzepiony Kalitrich.

Józef Marjan Chudek

Towarzyszka Konopnicka

Polska poezja proletarjacka jest nowością przez grzeczność, bo naprawdę dźwiga już na sobie szósty krzyżyk. Wiek to nazbyt sędziwy, żeby uchodzić za nowość. Przez tyle lat można było nietylko zdobyć brodę, ale też doczekać się jej osiwienia, a nawet wypadnięcia.

Oczywiście, przeszło pół wieku życia pociągnęło za sobą wiele bardzo nieraz poważnych przemian, jednak da się wytropić niemowlęctwo poezji proletarjackiej. Niby ona całkiem odmienna od tego, co się dziś pod tym terminem rozumie, lecz czyż babuleńka dzisiejsza tak bardzo znowu podobna jest do pięknej pięknością wieku ubiegłego panny z fotografji z lat osiemdziesiątych?

PIERWSI POECI PROLETARJACCY.

Poezja proletarjacka powstaje w Polsce niemal równocześnie z nowoczesnym ruchem socjalistycznym. I odrazu — jak dzisiaj — ma charakter propagandowy. Genewski „Przedświt", przystępując w r. 1882 do wydania pierwszego zbiorku tak pojętej poezji, kładł silny nacisk na tę właśnie cechę. „Oddawna już — zaczynają przedmowę wydawcy — w ruchu naszym — zwłaszcza przy propagandzie i agitacji — dawał się uczuć brak zbiorku poezyj rewolucyjnych i — naturalnie — rewolucyjnych w duchu prowadzonej przez nas pracy". (Tu konieczne jest wyjaśnienie, że ta praca miała charakter wybitnie kosmopolityczny i w stosunku do polskiego ruchu niepodległościowego nastawiona była w najlepszym wypadku z pobłażliwą ironją).

Że potrzeba jest matką wynalazków, wynaleziono sporą paczkę wierszy, tak, że złożyły się na niewinną, niebieską broszurę p. t.: „Czegóż chcą?", która miała iść w służbę „czerwonego sztandaru". (Właśnie tam ukazał się pierwodruk hymnu polskich socjalistów). Wiersze były osobliwe. Taka dziesiąta woda po romantycznym kisielu, choć prawdę mówiąc, nie wszystkie. Zasadą klasyfikacji były nietyle względy artystyczne, co miejsce powstania wierszy. Z wyjątkiem dwóch, jakieś dwadzieścia powstało w więzieniach, mianowicie w Cytadeli warszawskiej i w więzieniu poznańskiem. Przedmowa nie zapomina o tem poinformować: „Wystarczy — jak sądzimy — zaznaczyć, że większość drukowanych tu wierszy napisana została przez towarzyszy naszych w kazamatach więzień: są to niejako testamenty, naszemu ruchowi przekazane przez jego ofiarników... Z tego też tylko stanowiska należy i wolno te wierszowane myśli i uczuć wylewy osądzać".

Co do nazwisk pierwszych poetów proletarjackich (utwory ich w „Czegóż chcą"? są bezimienne), to przedewszystkiem wymienić trzeba jakże dziś od wszelkiej literatury proletarjackiej dalekiego.... Wacława Sieroszewskiego, poza nim zaś Stanisław Wasylewski [1]) jako poetów z więzienia poznańskiego ustala nazwiska: Marji Jankowskiej, Wrocisława Truszkowskiego, Józefa Kalasantego Janiszewskiego i Stanisława Mendelsona. Byli to lepsi działacze, niż poeci, poezja ich więc nie jest wysokiego lotu. Można tylko zaznaczyć, że nieporadność w zakresie formy, skłoniła ich do używania asonansów. Ale to ciekawostka małoznacząca.

Wasylewski kończy swoje roztrząsania spostrzeżeniem, że „oto w tym samym roku 1881, kiedy to autorzy wierszy więziennych daremnie usiłują uderzyć w ton poezji robotniczej, wychodzi z druku tomik poezyj nieznanej dotąd autorki, Marji Konopnickiej. Wielka poetka nizin społecznych i niedoli ludu rozpoczyna swą działalność, z której musiała wznieść się na wyżyny poezji społecznej i dać wyraz artystyczny wszystkim jej hasłom. Poprzedzające twórczość autorki „Pana Balcera" wiersze więzienne socjalistów poznańskich, przygotowały grunt na jej przyjęcie. I w tem ich skromne znaczenie".

„POETKA PROLETARJATU".

A więc Konopnicka, jako dalsze stadjum rozwoju poezji proletarjackiej! Czy słusznie? Odrazu podkreślić należy różnicę między nią a poetami „Czegoż chcą?", przejawiającą się w tem, że Konopnicka pisała na wolności i rolę decydującą grał w jej twórczości czynnik artystyczny. Bezwątpienia, chodziło jej o oddziaływanie społeczne — nie byłaby bez tego stuprocentową pozytywistką, ale nie tworzyłaby wyłącznie z nastawieniem propagandowem, które tak jest charakterystyczne np. u młodego Sieroszewskiego. (W wiele lat potem potrafił równie dobrze pisać wierszowane faramuszki balowe).

I tu trzeba stwierdzić rzecz zasadniczą: Konopnicka w pewnym okresie była uważana za poetkę proletarjacką, lecz działo się to bez świadomego zamiaru z jej strony. Poprostu proletarjat, przynajmniej w osobach jego szczytów kierowniczych, odnajdywał w jej utworach szereg myśli jemu właśnie bliskich — myśli do tego wypowiedzianych w świetnej formie artystycznej. Konopnicka nie robiła się na poetkę proletarjacką, jak dziś nieznośni młodzi poeci komunizujący. Za wielką na to była artystką. Tworzyła jednak wiersze, które dla pewnych warstw miały wagę słów objawienia. (Bierze pokusa zastanowić się, czy coś podobnego nie dzieje się dziś z Broniewskim).

Epitet: „Poetka proletarjatu" nie jest wymysłem historyczno-literackim. To coś najzupełniej autentycznego. „Marja Konopnicka — poetka proletarjatu" — taki tytuł posiada broszura jubileuszowa z okazji dwudziestopięciolecia twórczości (w. r. 1902), wydana w cyklu książeczek „Latarni"; „Latarnia" zaś, będąca organem Polskiej Partji Socjalistyczno-Demokratycznej — to „misje socjalistyczne dla ludu roboczego".

Krakowska broszura jubileuszowa — można to przyznać lojalnie — odznacza się sporym umiarem. Robi się tam z Konopnickiej „naszą", ale nie jest to aneksja bez reszty. Anonimowy autor podkreśla szereg wspólnych założeń, zachodzących między twórczością Konopnickiej a socjalizmem, który już zdążył przyblaknąć na barwie kosmopolitycznej, i oto teza naczelna wywodów: „Najbardziej z ludem, z jego dolą-niedolą, z jego czuciem i myślą, dniem dzisiejszym i jutrem, zespala się w nowszej poezji polskiej—Marja Konopnicka. I w tem jej znaczenie dla literatury polskiej, dla narodu, dla nas. W tem wytłumaczenie, że święto jej jubileuszu jest także u nas świętem: nasza - bo ona, a my pod wieloma względami dzieci jej ducha". To końcowe uznanie Konopnickiej za jedno ze źródeł polskiego socjalizmu podkreślimy grubą czerwoną kreską. Niewątpliwie dużo tu patosu jubileuszowego, lecz może i kruszyna prawdy.

Z wywodów anonimowego autora zapamiętajmy jeszcze podziw dla patrjotyzmu Konopnickiej, — „najgłębszej i najrozumniejszej miłości ojczyzny przez miłość ludu swego" i dla... rasowości polskiej: „Z jej pieśni czuć, że to krew z krwi, kość z kości polskiej; jej pieśni są nawskroś polskie, i wystarczy odczytać kilka wierszy nagłos, aby poznać, że to nawskroś nasze i tylko nasze; jak szum drzew, jak świergot ptaków naszych; szczerze polska to natura — i takimi pragnie mieć nas wszystkich". Dziś tych rzeczy, dostrzeżonych przez polskiego socjalistę i naprawdę mu imponujących, niema w polskiej poezji proletarjackiej. Woli ona stać na usługach... imperjalizmu radzieckiego.

STOSUNEK DO SOCJALIZMU

Czem tłumaczyć zbieżność między Konopnicką a socjalizmem? Czy Konopnicka była socjailstką? Na postawione tak pytanie jedna z żyjących do dziś przyjaciółek Konopnickiej dała nam odpowiedź, że „owszem, była socjalistką, ale socjalistką chrześcijańską". Właściwie tyle tu powiedziane, co i nic.

Sięgając do źródeł, ze wspomnianej „Latarni" dowiemy się, że „zapaliła Konopnicka pochodnię ducha" u płomienia pierwszych wystąpień socjalistycznych w l. 1879 — 1881. Nie można wobec braku korespondencji twierdzić kategorycznie, że tak nie było, że te wypadki nie wpłynęły na kształtowanie się stosunku Konopnickiej do świata; z większem wszakże prawdopodobieństwem przypuścić wolno, że oddziaływał tu przedewszystkiem typ psychiczny. Konopnicka, tkwiąca mocno w życiu, reagowała silnie na zdarzenia i stąd ten ton bojowy w poezji, a „trzepanie pysków" parobkom w stosunkach ze służbą, jak chce błąkająca się od lat plotka - wszędobyłka. Ten ton bojowy był punktem stycznym między Konopnicką a socjalizmem, który jej słowa uznawał za swoje słowa, bo „ona mówi i śpiewa zarówno za istoty, jak i rzeczy, które albo nie umieją uświadamiać własnego bytu, albo są nieme. To znaczy naprzód, że wszyscy wydziedziczeni, a więc starce, wdowy, sieroty, którym głodno, chłodno, pusto i źle na świecie — wszyscy którzy jęczą pod przemocą praw naturalnych i społecznych, pod pogardą i niemiłosierdziem możnych, gdyby mogli i umieli wypowiadać w pieśni swoją niedolę i swoje bóle, wypowiadaliby je Jej słowami. Ona jest ich skargą wobec nieba i orędowniczką wobec sytych" [2]).

Lata, w których zaczyna się twórczość Konopnickiej, są okresem daleko idących przemian społecznych. Zniesienie pańszczyzny wzmaga wzrost proletarjatu, postępujące uprzemysłowienie stwarza kwestję robotniczą, konfiskaty popowstaniowe i bankructwa z braku rąk pańszczyźnianych tworzą nam mieszczaństwo polskie z ziemiaństwa. Przecież były takie fakty, że wielka dama po zabraniu przez rząd majątku brała się do handlu i prowadziła stragan z masłem za Żelazną Bramą [3]). Te wszystkie przemiany wywoływały konflikty, które stawały się podglebiem zjawiska społecznego, któremu na imię socjalizm, i zjawiska artystycznego, któremu na nazwisko Konopnicka, powstających niezależnie od siebie. Zbieżność była koniecznością, bo wspólny był grunt wzrastania.

KONOPNICKA PO SOWIECKU

Swoje myśli ubrane w formę artystyczną znajdywał u Konopnickiej poza socjalizmem polskim jeszcze rodzący się w piętnaście lat po jubileuszowej broszurze przewrót bolszewicki. W r. 1917 wychodząca w „Piotrogrodzie" „Trybuna", jak przed laty genewski „Przedświt" wydaje „zbiór poezyj rewolucyjnych" p. t. „Pieśni wolnego ducha". Na czele tym razem jest „Międzynarodówka", jest wiersz Sieroszewskiego jak w „Czegoż chcą?", a dalej i Konopnicka z „Dolą Stacha", co to szedł na boje i „śmiertelną dostał ranę".

„Dola Stacha" miała wzięcie, bo już po ugruntowaniu się bolszewizmu w Sowietach śpiewał ją — naturalnie w przekładzie rosyjskim — „artysta ludowy" Szaljapin.

Ostatnię to fakty, świadczące o proletarjackości Konopnickiej, bo niebawem dokonana została jej detronizacja.

KONIEC ROMANSU

Za symbol odwrócenia się proletarjatu od Konopnickiej może być uważane zdarzenie, o którem w „Państwie ponurej anegdoty" opowiada Małaczewski:

„W szkole imienia Marji Konopnickiej w sali rekreacyjnej wisiał portret wielkiej poetki. Proszę przypomnieć, jak wygląda na oleodruku. Jej przezacna głowa w uczesaniu staromodnem, o mądrem i dobrotliwem obliczu polskiej emancypantki, z wielkiemi szkłami binokli na poczciwym nosie.

Wizytował tę szkołę jakiś wysoki dygnitarz do czerwonej oświaty. Jego inspekcja wypadła właśnie w czasie owych zajść kłopotliwych o obrazy święte.

Gdy ów dygnitarz ujrzał portret Konopnickiej w otoczu wieńców, rzucił się jak tygrys, dźgnięty nagłem rozjuszeniem, zerwał portret ze ściany, cisnął go na podłogę, potratował nogami, wyszarpnął papier z ram i rwał go na kawały, rycząc i odgrażając się pięściami Bogu i burżujom. Gdy się z gniewu wyfukał, zapytano go o powód tak zaciekłej nienawiści do poetki, która przecież całe życie była bojownicą postępu. Zdumiał się tedy i odrzekł:

— Myślałem, że to wasza Matka Boska.

— Ależ, towarzyszu, gdzieżeście widzieli Matkę Boską z okularami na nosie?

— A kto was tam zrozumie... Wy, Polacy, jesteście podstępni, wiadomo... Ot, potraficie nawet okulary domalować waszym świętym, byleby pozostać przy zabobonach burżuazyjnych. Ale mnie oczu nie zamydlicie... Żadnych obrazów — oto moja platforma!"... [4]).

To chyba najbardziej wymowne zakończenie flirtu proletarjackiego z Konopnicką, jakie sobie można wyobrazić. Scena naprawdę dramatyczna! Takie zdarzają się tylko po wielkiej miłości.

I oto nikt dziś nie nazwie Konopnickiej poetką proletarjacką — jej, którą ów sowiecki dygnitarz potraktował narówni z Matką Boską, choć tak stosunkowo, niedawno Sienkiewicz musiał bronić jej przed zarzutami bluźnierstwa. Czasem życie dzieła literackiego w jakiemś środowisku jest ciekawsze od życia osobistego autora. Proletarjackość Konopnickiej jest przykładem.

---

[1]) Pierwsi socjaliści w Poznaniu i ich poezje (1881—82). Kronika Miasta Poznania. Nr. 3/1934. Str. 300-332.

[2]) Henryk Sienkiewicz: Dwie łąki. Kraków, 1908. Str. 129.

[3]) Szereg takich faktów przyniesie pisany obecnie pamiętnik p. Lucyny Kotarbińskiej, obejmujący wielki okres czasu od stracenia Traugutta do dni ostatnich.

[4]) Koń na wzgórzu. Wydanie III. Warszawa b. r. Str. 207-208.

Tydzień książki

BANACH S. i STOŻEK W.: Algebra dla II kl. gimn. 8° str. 128. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.10.

BIELECKI B. i KRASIŃSKI WŁ.: Arytmetyka i geometrja dla VI kl. szkół powsz. z 70 rys. 8° str. 139. Lwów 1934. K. S. Jakubowski. Zł. 1.50.

BREDA A. S.: Zadłużenie drobnych gospodarstw na dzień 1 lipca 1933 r. Opracował pod kierunkiem J. Poniatowskiego. 8° str. 53. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 1.50.

BURDECKI F.: Światy planetarne. Z 11 rys. 8° str. 68. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

GUSTHAL COMMANDANT: Bohaterowie bez chwały. Powieść. 8° str. 180. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

KONOPKA S. dr.: Bibljografja druków o Józefie Piłsudskim. 8° str. 80. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 4.—.

KOSCHMIEDER E.: Nauka o aspektach czasownika polskiego w zarysie. Próba syntezy. 8° str. XVI i 240. Wilno 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 10.—.

MUL TAD. i RADOMSKI J.: Botanika. Podręcznik do nauki biologji dla II kl. gimn. z 101 rys. 11 tabl. i 5 mapkami. 8° str. 164. Lwów 1934. Ossolineum. Zł. 1.80.

MARSZEWSKA-ZIEMIĘCKA J.: Historja rozwoju rolnictwa Wielkiej Brytanji i jego kryzys dzisiejszy. 8° str. 32. Kraków 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

MĄCZKA JÓZEF: Starym szlakiem. Wyd. 3-cie z przedmową J. A. Teslara. Nieznanemi wierszami poety uzupełnił i wstęp napisał P. J. Hausvater. 8° str. 208. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 3.50.

NICHOLS BEVERLEY: Dzwon na trwogę. Przełożyła Wacława Komarnicka. 8° str. 277. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

FISHER I.: Teorja deflacji długów w wielkich kryzysach. Przełożył W. Kanderski. 8° str. 32. Kraków 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

ROCZNIK SPORTOWY 1934. 8° str. 8 nlb + 510. Warszawa 1934. Główna Księg. Wojsk. Zł. 10.—; opr. 13.—.

ROSIAK S.: Prowincja litewska Sióstr Miłosierdzia. Szkic z dziejów martyrologji Kościoła Katolickiego pod zaborem rosyjskim. 8° str. 310. Wilno 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 4.50.

RUSIECKI A. i M. ZARZECKI: Arytmetyka z geometrją. Podręcznik dla uczniów szkoły pow. kl. VI. 8° str. 175. Poznań 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 1.50.

RYMOWICZ Z. i ŚWIĘCICKI W.: Suplement do Prawa Cywilnego Ziem wschodnich. T. X, cz. I Zwodu praw, zawierający orzecznictwo Sądu Najw. i Ustawy Związkowe za czas od 1.1.1933 do 1.1.1934, w tej liczbie Kodeks zobowiązań 1933. 8° str. 298. Warszawa 1934. F. Hoesick. Zł. 12.—.

STRASZEWICZ S. i KULCZYCKI S.: Geometrja dla II kl. gimn. z 127 rys. 8° str. 100. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.10.

SZYPERSKI A.: Mowa zapomniana. O archaizmach w Wielkopolsce. 8° str. 22. Środa 1934. Księg. Św. Wojciecha. Poznań. Zł. 1.—.

SIWAK M.: Geografja dla II kl. gimn. ze 144 rys. 8° str. 179. Lwów 1934. K. S. Jakubowski. Zł. 2.10.

TYNC S., GOŁĄBEK J. i DUSZYŃSKA J.: Nasza wieś. Czytanka polska dla kl. II szkół pow. wiejskich. 8° str. 184. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.10.

TERAJEWICZ A. dr.: Odżywianie w obozach i na wycieczkach. 8° str. 109. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.60.

TYNC S., GOŁĄBEK J. i DYNOWSKA M.: Miasto i wieś. Czytanka polska dla kl. III szkół powszechnych miejskich. 8° str. 167. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.10.

TYNC S., GOŁĄBEK J. i DUSZYŃSKA J.: Wieś i miasto. Czytanka polska dla III kl. szkół powszechnych wiejskich. 8° str. 160. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.10.

Ustawa o ochronie lokatorów. Orzecznictwo Sądu Najwyższego 8° str. VII i 272. Kraków 1935. Księgarnia Powszechna. Opr. zł. 4 —.

WAGNER WŁ.: Podług słońca i gwiazd. Pamiętnik, z przedmową dr. M. Grażyńskiego. 8° str. 87. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 3.50.

WASHBURNE C.: Przystosowanie szkoły do dziecka. System Winnetki. Przełożył J. Prechner. 8° str. 224. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 4.—.

WASILEWSKA W.: Oblicze dnia. Powieść-reportaż. 8° str. 313. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

WASILEWSKI L.: Kwestja ukraińska, jako zagadnienie międzynarodowe. 8° str. 146. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.—.

WEBER A. ks.: Dusza zakonna wobec Jezusa. Pobożne rozważania o życiu zakonnem. 8° str. 287. Poznań 1934. Skł. Księg. Św. Wojciecha. Opr. 3 zł.

WEBER J. adw.: Przedsiębiorstwo jako narzędzie kredytu. 8° str. 16. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 0.50.

WELLISCH K.: Prawo akcyjne w kodeksie handlowym. 8° str. 39. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 2.—.

WHITMAN W.: 75 poematów. Przekład S. Napierskiego. Przedmowa poprzedził S. Helsztyński. 8° str. 152. Warszawa 1934. J. Mortkowicz. Zł. 3.—.

WOLTER T.: Liternictwo. 8° podł. 2 nlb. 8 tablic. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.50.

WOJTOWICZ WŁ.: Podręcznik dla kl. II gimn. 8° str. 128. Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.10.

WOJTOWICZ J. i WOJTOWICZ WŁ.: Arytmetyka dla III kl. szkół powsz. 8° str. 92. Lwów 1934. K. S. Jakubowski. Zł. 0.90.

WUTTKOWA J., ZALEWSKA Z., WUTTKE G.: Poznaj swoje miasto. Książka pomocnicza do nauki przyrody i geografji dla kl. III szkół powsz. 8° str. 158 z 205 rys. Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.—.

WUTTKOWA J., ZALEWSKA Z., WUTTKE G.: Poznaj swoją wieś. Książka pomocnicza do nauki przyrody i geografji dla kl. III szkoły powsz. 8° str. 168 z 201 rys. Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.—.

Andrzej Ruszkowski

Nowa Wieża Babel

Wizyta w największem atelier filmowem Europy



Neubabelsberg z lotu ptaka.

Pół godziny jedzie się z Berlina do stacji Neubabelsberg, wokół której rozpostarte resztki sosnowego lasu, przypominające nasz Konstancin lub zgoła Wawer, zakrywają starannie odległą o kilkanaście minut pieszej drogi wylęgarnię czołowych filmów niemieckich, największy w Europie kompleks atelier dźwiękowych „Ufy“.

Z usprawiedliwionem zaciekawieniem wkraczamy zatem w podwoje niewielkiej „stróżówki“ — wrota do kraju racjonalnej wytwórni snów. Czeka już kilka innych dziennikarzy. Jeden z nich. Duńczyk, jeszcze jest pod wrażeniem lotu, jaki odbył nad obozem koncentracyjnym. zaproszony przez... ministra propagandy (było to przed amnestją). Uprzejmy cicerone, dr. Pannunzi z wydziału prasowego „Ufy“, podpisawszy nas w srogiej księdze, prowadzi czeladkę na teren wytwórni, liczący sobie 450 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, a zabudowany 42-ma budynkami.



Szminkowanie statystek.

POMIESZANIE... STYLÓW

Wkraczamy w ulicę, ale jakąś niesamowitą ulicę: z jednej strony nędzne, chińskie domki, jakby poturbowane bombami, z drugiej pełne wdzięku wiedeńskie kamieniczki. Dalej nieco norymberskie starożytne domy patrzą prosto w... okna angielskiego hoteliku.

Jesteśmy w dzielnicy dekoracyj plenerowych. Za fasadami domów nie kryje się nic — prócz podtrzymującego je rusztowania. Gdzieniegdzie tylko wznosi się budowla solidna. Ta zmienia szczegóły frontonu i otoczenia, zależnie od filmu: raz jest konsulatem amerykańskim w Chinach, drugi raz — pałacem „Młodego Barona Neuhausa“.

Duża część terenu zabudowana jest jeszcze dekoracjami do wielkiego filmu „Flüchtlinge“ (w wersji francuskiej: „Voyage au bout du monde“), którego akcja rozgrywa się przeważnie w szarpanych walkami wewnętrznemi Chinach. Gdzieniegdzie walęsają się szczątki zaledwie zniesionych barykad. W szarem świetle chmurnego popołudnia wygląda to naprawdę na ponure pobojowisko.

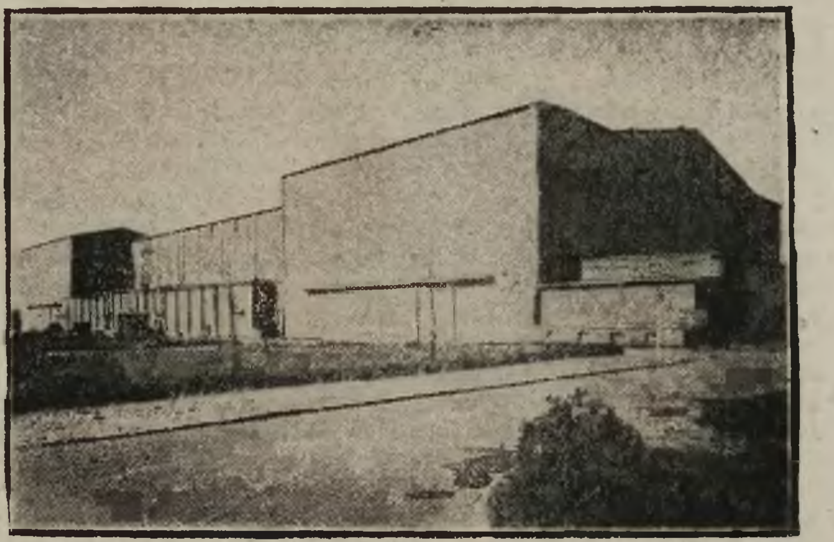
SZTUCZNY DESZCZ

Ale oto, o kilkadziesiąt metrów dalej, widok weselszy: „Regenaufnahme“ — zdjęcie deszczowe. Naprzeciwko frontonu małomiasteczkowej kamienicy ze sklepem na parterze, ustawiła się baterja potężnych reflektorów, z rusztowania lejąca potok światła na nie dostatecznie dniem oświetloną scenę. Z trzeciego piętra kamienicy wychyla się wąsaty strażak i z olbrzymiej szprycy — leje na głowy aktorów rozpryskany potok wody, imitujący do złudzenia ulewę. Okryty parasolem mikrofon łapie chciwie plusk deszczu, przez który przebija się nerwowy, urywany djalog między młodym, tylko cyklistówką i podniesionym kołnierzem marynarki od zmoknięcia chronionym człowiekiem z ulicy (Wesener) i podstarzałym, wymuskanym sklepikarzem, zaledwie głowę spoza drzwi wytykającym.

Przy kamerze, otoczony sztabem współpracowników, reżyser (Fritz Auer) krytycznem okiem patrzy na scenę. Źle! — Powtarzać! — Znów leją się strumienie na głowę młodzieńca. Cztery razy powtarzano zdjęcie, zanim reżyser orzekł, że jest dobre. Bodaj to być aktorem filmowym!

WIELKA HALA

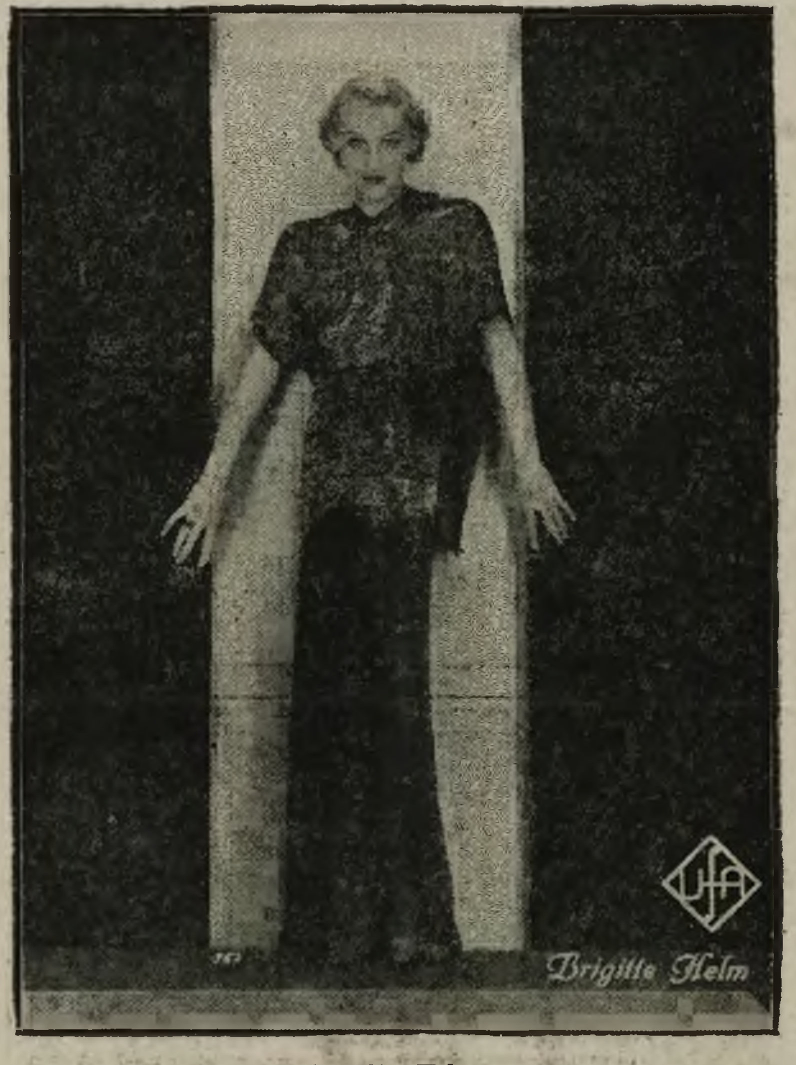
Idąc dalej natykamy się odrazu na imponujący budynek, wzniesiony jeszcze w 1926 r. za czasów filmu niemego przez Stahl - Urach'a, a liczący ni mniej ni więcej, tylko 173 metry długości, a 24 metry (6 pięter) wysokości.



Wielka hala dźwiękowa.

Dziś budynek ten dzieli się na trzy części, z których każda stanowi oddzielne wielkie atelier, mogące pomieścić 4-piętrowej wysokości dekoracje. Są to największe rozmiarami ateliers. W nich buduje się najprzestronniejsze dekoracje, przedstawiające ogromne wnętrza lub nawet całe krajobrazy, które imitują zdjęcia plenerowe.

W pierwszej sali rozlega się stuk młotków, piłowanie, heblowanie i setki hałasów. Kilkudziesięciu robotników uwija się, budując dekorację wnętrza wielkiego parowca transatlantyckiego. Zanim cała trupa powróci ze zdjęć plenerowych, nakręcanych właśnie na pełnem morzu, — wszystko musi być gotowe. Architekt, kierujący budową, pokazuje uprzejmie makietkę dekoracji i szczegółowe rysunki różnych fragmentów. Każdy drobiazg przemyślany jest dokładnie. Tylko wykonać. W drugiej części tejże sali stoi dekoracja eleganckiego hall'u hotelowego z kręcącemi się drzwiami. Ludzie pracują, jakby rozgorączkowani, widać niewiele już czasu zostało na wykończenie roboty. Tu wtrąćmy, że około 600, a czasem i do 700 osób obsługuje dzień w dzień urządzenia Neubabelsbergu. W liczbie tej reprezentowane są bodaj wszystkie rzemiosła.



Brygida Helm.

„TURANDOT“ JEDZIE!

Teraz przechodzimy do środkowej, największej sali. Równie w niej głośno, jak w poprzedniej. Całą prawie olbrzymią powierzchnię ścian zawieszono bielą, na której widać już lekki szkic obłoków i dalekiego horyzontu z malowniczemi, wzgórzami: to sztuczna „dal“ dekoracji.

We wnętrzu sali rzuca się w oczy podparta rusztowaniem długa pochyłość, jakby skocznia narciarska o łagodnym spadku. Czyżby budowano — Alpy?

Nie, okazuje się, że to budowa centralnej dekoracji do „Turandot“, ujętej jako operetka filmowa, z popularnymi obecnie w Niemczech: Käthe von Nagy, Willy Fritschem i Paul Kemp'em (partnerem Kiepury z niemieckich wersyj jego filmów) w rolach głównych. Znów oglądamy makietę dekoracji: na pagórku stoi domek w stylu chińskim, pagórek pokryty jest parkiem, z malowniczym mostkiem poprzez spływający zboczem strumyk. W oddali perspektywa gór. Widząc tak piękny krajobraz, zalany słońcem, który z widzów domyśli się, że to wszystko imitacja, wzniesiona rękami ludzi w zamkniętem pomieszczeniu?

Obok stoi druga makietka: inny krajobraz, inne miejsce. Ale dekoracja tak jest pomyślana, że wystarczy zmienić tylko parę szczegółów w poprzedniej, zostawiając np. cały „pomost“ pagórka. Robi się to rzecz prosta dla oszczędności materjału i czasu.

NARESZCIE, TU KRĘCĄ!

W trzeciej sali przed nieuprzedzonymi roztacza się widok niespodziewany, ogromna sala kasyna w Monte Carlo, lśniąca żyrandolami, lustrami, posadzką, zapełniona tłumem graczy przy stołach ruletki i baccarata. Przez szeroko otwarte drzwi widać piękny taras, a w oddali — morze. Wystrojone damy, wytworni panowie, pochłonięci hazardem, zdają się zapominać o Bożym świecie. Czasem ktoś wejdzie, inny wyjdzie. Gwar przyciszonych rozmów, głośniejsze wołania krupierów, szelest przesuwanych sztonów, szum ruletki...

W pierwszej chwili złudzenie prawdy jest nadzwyczajne, choć przecie nikt z nas nie przypuszcza, że znalazł się nagle w... Monte Carlo. „Psst... stąpać cicho!“— pierwszy czar prysnął. Patrzę na sufit — niema go, tylko dwadzieścia kilka reflektorów, ustawionych na ścianach dekoracji i zawieszonych u stropu hali, razi oczy żółtawym i niebieskawym blaskiem: minęły złudzenia.

Teraz ruch i gwar postaci, zaludniających kasyno, rozsypuje się jakby w nieładzie: zdjęcie skończone, chwila przerwy.

Ślizgający się powierzchownie wzrok pada na grupkę, w której dyskutują: operator z reżyserem, Arturem Robisonem (debjut!) na temat następnego „ujęcia“,— przemyka przez wytworne sylwetki statystów (najwyższa klasa, płatna po 25 marek dziennie, co nie jest zbyt dużo, wziąwszy pod uwagę koszt własnych ubrań i niewielką ilość dni pracy), — zatrzymuje się wreszcie na szczegółach technicznych. Towarzyszy kablom łączącym misterny mikrofon i okazałą kamerę z posterunkiem łącznika, którego zadniem jest utrzymywać kontakt między reżyserem a zamkniętym w oddalonej kabinie „mixerem“ dźwiękowym. Odpoczywa na stojących bezczynnie trójkołowych wózkach do t. zw. „travellingu“ (zdjęć w ruchu aparatu), rozsiada się na starych, w kąt odstawionych kadłubach jupiterów, aż kończy wędrówkę na grubej księdze, t. zw. „drehbuchu“, na której widnieje tytuł filmu: „Fürst Woronzeff“ — „Książę Woroncew“.

Nagle gwizdek przerywa kontemplacje: próba nowej sceny.

BRYGIDA HELM I JEJ SOBOWTÓR.

Odtwórczyni głównej roli kobiecej, słynna już dziś Brygida Helm, w modnej bronzowej sukni, w kapeluszu zazdrośnie kryjącym pół twarzy, siada na kanapce z jakąś starszą damą, trochę podejrzanego wyglądu, mocno wyfioczoną. Kamera podjeżdża blisko, aby głowy ich sfotografować na tle sali i tłumu statystów (około 120 osób). Dialog jest bardzo krótki, zaledwie kilka zdań. Pomimo to trzeba kilku prób i kilku zdjęć, aby zadowolić reżysera. Potem na miejsce niemieckiej partnerki Brygidy przychodzi francuska i tensam djalog powtarza się po francusku, do wersji na Francję (większość filmów „Ufy“ nakręcana jest w tych dwu wersjach).



Filmowe antyki w... rekwizytorni.

Tymczasem dostrzegam siedzącą na uboczu w gronie statystów. — drugą Brygidę Helm. Trochę brzydsza, trochę bardziej blond, ale tasama figura, taka sama nawet suknia.

— Kto to jest? — To sobowtór Brygidy, który pozuje przy ustawianiu oświetlenia, przy niektórych próbach sytuacyjnych, żeby gwiazda, i tak przemęczona grą w dwóch wersjach, mogła uniknąć wszelkiego zbędnego wysiłku.

KSZTAŁCĄCA KAWA.

Ale reżyser niedwuznacznie daje do zrozumienia, że ma dość gościny panów „z prasy“. Trzeba ewakuować pozycje, cofając się na szaniec małej kawiarenki, miejsca wytchnienia dla znużonych artystów. Po drodze mijamy laboratorja, składy i inne zabudowania. Żegnamy resztki drewnianego pociągu, który odtwarzał w jednym z filmów pierwszą jazdę koleją Berlin — Potsdam.

Przy kawie rozmowa o sytuacji filmu niemieckiego, o filmie kulturalnym, o frekwencji w kinach. Okazuje się, że w roku 1933 5000 kin niemieckich odwiedziło 230 miljonów widzów, że zatem każdy Niemiec był przeciętnie 4 razy w kinie. A przecie prócz tego funkcjonuje jeszcze blisko 3000 aparatów projekcyjnych filmowych w szkołach, klubach, oddziałach partji hitlerowskiej, lub należących do wędrownych kiniarzy. Sam Berlin ma 389 kin dźwiękowych (tyle mniejwięcej, co cała Polska), liczących 180 tysięcy miejsc. Obecnie ilość małych kin na prowincji jeszcze się powiększy, bo fabryka aparatów projekcyjnych dźwiękowych „Klangfilm“ wypuściła na rynek nowy model, bajecznie tani: cała instalacja kosztuje 950 marek (około 2000 złotych).

ŻEBY TAK W POLSCE...

Na takiej rozmowie czas upływa szybko. Trzeba wracać.

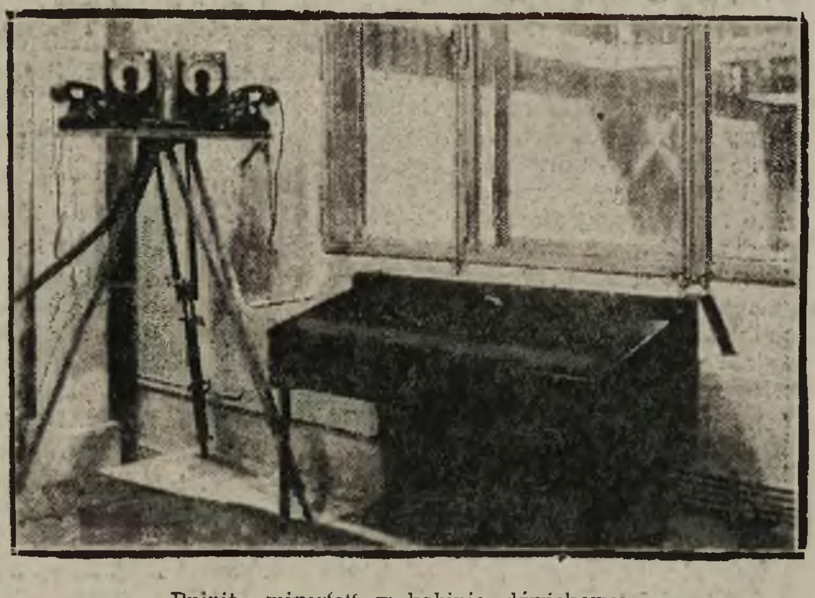
Uparta, dręcząca myśl coraz bezczelniej, coraz boleśniej świdruje się w mózg:

— Dlaczego my w Polsce nie potrafimy, w możliwym dla nas zakresie, zrozumieć znaczenia filmu, stworzyć naprawdę racjonalnej, choćby na mniejszą skalę zakrojonej produkcji, dlaczego kina nasze wciąż jeszcze wegetują w okropnych warunkach prawnych i fiskalnych, dlaczego dotychczas film polski nie może naogół być nazwany ani czynnikiem dodatnim w życiu duchowem narodu ani propagandą tego życia wobec zagranicy?...

Z każdą chwilą głośniejsza, myśl ta zagłusza turkot pociągu i cichnący gwar różnostylowych, różnojęzycznych wspomnień z prawdziwie Nowej Wieży Babel filmu — Neu - Babels - Bergu.



Za frontonami kryją się tylko.. wąskie rusztowania.



Pulpit „mixer'a“ w kabinie dźwiękowej.